

Rozdział 11

Panna Aldersey powoduje trzęsienie ziemi. Panna Aldersey była wspaniałą niewiastą. Co do tego wszyscy byli zgodni - zarówno Chińczycy jak i Europejczycy zamieszkujący w Ningpo. Jeśli chodzi o ścisłość, to Chińczycy przypisywali jej daleko większe znaczenie aniżeli brytyjskiemu konsulowi, jako że stwierdzili, że ten ostatni zawsze był pannie Aldersey posłuszny! I nic dziwnego - przecież ona miała, według ich mniemania, jakąś wielką magiczną moc! Czyż nie należało przypisywać jej tajemniczej butelce, w której znajdował się jakiś potężny duch, wstrząsów podziemnych, które miały miejsce o piątej rano, i które można było odczuć na murach miasta? I czyż nie jej tajemniczym mocom okultystycznym należało przypisać wiele innych dziwnych zjawisk? Tak, nikomu innemu, tylko czcigodnej pani nauczycielce, pannie Aldersey! Bez wątpienia, Królowa. angielska, która też była niezwykłą kobietą, zleciła jej sprawowanie rządów nad tą grupą jej podwładnych, którzy odczuli jakiś pociąg ku chińskiemu miastu portowemu Ningpo. I konsul brytyjski był jej posłuszny - bez dwóch zdań! Wszyscy Chińczycy co do tego byli zgodni: panna Aldersey była nadzwyczajną kobietą.

Grupa Europejczyków była również tego zdania. A choć nie przypisywali jej trzęsienia ziemi, wiedząc doskonale, że w jej słynnej butelce nie było żadnej substancji o mocy piorunującej, to jednak zdawali sobie sprawę z tego, że na każdy dzień robiła coś jeszcze ważniejszego: codziennie rano o piątej godzinie wychodziła na przechadzkę po murach miasta - i to bez względu na pogodę, deszcz czy nie deszcz, w zimie czy w lecie! Nie sprawiało jej żadnej różnicy, gdy było nawet ciemno jak w worku! W takim wypadku polecała służącemu towarzyszyć jej z latarnią a przy jej świetle wyruszała na swój codzienny spacer, który był niezmienną regułą jej życia. I to o piątej rano! Żadnego z członków grupy Europejczyków nie był by zdolny skłonić do naśladowania jej w tym nawet jakiś wstrząs podziemny! Już choćby dla samego tego wyczynu wszyscy zgodnie uważali ją za nadzwyczajną kobietę. Ale to jeszcze nie było wszystko. Jako pionier pracy misyjnej w Ningpo i założycielka pierwszej protestanckiej szkoły misyjnej dla dziewcząt w Chinach, odznaczała się tak ogromną pracowitością i tak potężnym potencjałem pracy, że każdy inny śmiertelnik o nieco słabszej strukturze, nie mógł wprost złapać tchu, gdy się przyglądał jej trybowi życia. ...Nawet w czasie spożywania posiłków kazała uczennicom czytać ich lekcje, a jeśli chodzi o wakacje, to coś takiego w ogóle dla niej nie istniało. Niech by sobie inni misjonarze wyjeżdżali nad morze, aby posilić swe zdrowie i odpocząć po trudach związanych z wypełnianiem swoich obowiązków - dla niej, dla panny Aldersey, zaczerpnięcie świeżego morskiego powietrza odbywało się po wdrapaniu na dziewięte piętro wysokiej pagody i dokonaniu właśnie tam szeregu oddechów. A za każdym razem towarzyszyło jej przy tym kilka uczennic, tak że mogła bez trudności udzielać im po drodze coś ze swojej wiedzy. Niezwykła kobieta - z całą pewnością! A jeśli brytyjski konsul nie zawsze robił to, co chciała, to z całą pewnością nie odważył się nigdy dopuścić do tego, aby się ona o tym dowiedziała!

Było więc tym bardziej niefortunnym zrządzeniem losu, że ta właśnie tak ogromnie wpływowa, respekt wzbudzająca pani, poczuła w stosunku do Hudsona głęboką i mocno zakorzenioną antypatię. Ale tak niestety się stało. Wystarczyło tylko wspomnieć jego nazwisko w jej obecności, aby drobne i słabe jej ciało nagle całe zeszytywniało, z powodu - jak ona to określała - najzupełniej uzasadnianego oburzenia. A przyczyną tego było coś, co według panny Aldersey zakrawało na bezwstydne zuchwalstwo, niczym nie usprawiedliwiony afront i karygodną bezczelność - Hudson Taylor odważył się prosić o rękę Marii!

Maria była sierotą po misjonarzu i jedną z nauczycielek w szkole panny Aldersey. Z obowiązków swoich wywiązywała się ku wielkiemu zadowoleniu swojej przełożonej, ponieważ pracowała pilnie, bardzo lubiła dzieci a mówiła po chińsku, jak rodowita Chinka. Była też nader urodziwa, to też Hudson nie był

pierwszym młodym człowiekiem, który uważał, że imię Maria będzie wyglądała lepiej przed jego nazwiskiem, aniżeli przed jej własnym. Panna Aldersey nie miała jej tego za złe, gdyż koniec końcem dziewczyna nie była temu winna. Trzeba też przyznać, że panna Aldersey nie była w tym względzie jakąś egoistką i była gotowa rozstać się ze swoją dzielną nauczycielką, gdyby na widowni pojawił się jakiś naprawdę stosowny młody człowiek. Ale Hudson Taylor! Ten młodzieniec, który zawsze chodził ubrany po chińsku i na domiar wszystkiego nosił warkocz! I to jeszcze do tego warkocz ze swoich własnych włosów, i pomyśleć sobie, dyndający od czubka jego głowy! I kim był ten młodzieniec właściwie? Biednym, młodym, nie posiadającym żadnych towarzyskich kontaktów "Nikim"! Jakiś fanatyk, na którym zupełnie nie można było polegać, którego by nie zatrudniło żadne szanujące się towarzystwo misyjne! I on miałby poślubić Marię? Nigdy! On z całą pewnością nie szukał niczego innego jak tylko jej majątku!

Biedna dziewiętnastoletnia Maria miała w związku z tym bardzo ciężkie serduszko. Jeśli chodzi o jej uczucia, to myśl o poślubieniu Hudsona, z warkoczem, czy bez warkocza, przemawiała do niej ogromnie. Gdyby powiedzieć prawdę, to ona odczuła to już szereg tygodni zanim Hudson jej o tym wspomniał, chociaż, rzecz oczywista, zachowała to dla siebie. Ale teraz w obliczu ogromnego gniewu panny Aldersey i jej potężnych argumentów czuła się bezradna. Wreszcie na rozkaz tej pani usiadła i pod jej dyktandem napisała list, w którym zawiadomiła Hudsona, że jego oświadczyzny były absolutnie nie do przyjęcia, dodając, że jeśli Hudson jest choćby w najmniejszym stopniu gentelmanem, to już nigdy nie powróci do tego tematu. Panna Aldersey zabrała jej list z triumfem na pocztę, Maria udała się do swego pokoju i wybuchnęła płaczem, a Hudson, który spodziewał się przychylniejszej odpowiedzi, poczuł się, jak gdyby ktoś zatrzaskał mu głośno i ostatecznie drzwi przed nosem.

Nie było rzeczą łatwą dalej żyć i pracować w Ningpo po przeżyciu takiego zawstydzenia, ale Hudson wiedział, że musi jednak tam pozostać i dalej pracować. W tym czasie udało mu się już bowiem znaleźć i wynająć pewien lokal sklepowy, nadający się doskonale na salkę do odbywania nabożeństw i głoszenia Ewangelii. Mieszkał wówczas u pewnej młodej pary małżeńskiej, państwa Jones, którzy niedawno przybyli do Chin. U Parkerów nie mieszkał dlatego, że w tym czasie objęli kierownictwo szpitala. A tak dni Hudsona były pełne pracy: głosił Słowo, odwiedzał Chińczyków, którzy się interesowali tą "religią Jezusa", a także usługując w zakresie medycznym. I całe szczęście, że te dni były tak pełne pracy!... Czuł się bardzo samotny, gdyż wszystkie nadzieje otrzymania jakiegoś towarzysza pracy spełzały na niczym - jedna po drugiej. Gdy przyjechał do Chin, na samym początku miał nadzieję, że wkrótce dołączy się do niego jego siostra Amelia, którą bardzo lubił, pomimo ustawicznego droczenia się z nią. Miał takie uczucie, że będzie ona wymarzną osobą do zajmowania się domem i sprawami gospodarczymi, także miał nadzieję, że będzie pracować wśród chińskich niewiast. Potem zachęcająco podziały nań listy jego przyjaciela Bena, który najwyraźniej głęboko interesował się jego przeżyciami. Miał więc nadzieję, że może on przyjedzie!... Dlatego było to dla niego pewnego rodzaju ciosem, gdy się wreszcie dowiedział, że Amelia zaręczyła się z Benem, że mają zamiar pozostać w kraju i że ani jedno ani drugie nie przyjedzie! A teraz skoro Maria dała mu kosza - ta, o której wiedział, że byłaby daleko lepszym towarzyszem życia, niż którekolwiek z nich, Hudson czuł się bardzo opuszczony.

Stąd też początek lata tego roku był dla niego osnutym pewnym smutkiem. Nade wszystko trapiło go to, że nie mógł pojąć, co to wszystko, co go spotkało, miało znaczyć. Za nim bowiem odważył się uczynić ten ważny krok, to jest oświadczyć się Marii, modlił się o tę sprawę bardzo dużo i dlatego było nader dziwną rzeczą, że sprawy potoczyły się w ten sposób, kiedy on czuł w sercu przekonanie, że postępuje właściwie. I co dziwniejsze jeszcze, choć usiłował się pozbyć tego uczucia, mimo wszystko w głębi serca nadal pozostawało przekonanie, że ta droga, jednak była właściwa! Ach, gdyby tylko mógł usłyszeć codzienne modlitwy biednej Marii, które wylewała przed Panem przy swoim łóżku codziennie rano i wieczorem! Jak bardzo pragnęła zastać panią Taylor!...

Ale Hudson absolutnie nic o tym nie wiedział. Wszystko, co miał jako oczywisty materiał dowodowy, jeśli chodzi o obrót tej sprawy, to był ów list Marii, który - przynajmniej na pozór - był ostatnią odpowiedzią. Przynajmniej taka była intencja przy redagowaniu tego listu. Ale mimo wszystko Hudson jakoś nie mógł się z tym pogodzić - i to tym mniej, im dłużej nad tą sprawą rozmyślał. Przede wszystkim jakkolwiek list ten był napisany ręką Marii, to jednak styl jego zdradzał, że ona nie mogła być jego autorką. Zaczął się więc zastanawiać, czy to czasem nie był styl panny Aldersey?... Gdyby tylko było możliwe zobaczyć się z Marią w momencie, gdy nie byłoby koło niej panny Aldersey! Ale ręce Hudsona były związane, tym bardziej, że znajdowali się w starych Chinach, gdzie było rzeczą stanowczo wzbronioną, aby nieżonaty mężczyzna starał się spotkać z niezamężną niewiastą. Raz już myślał, że mu się o uda, ale niestety! Znalazł się niemal natychmiast w towarzystwie kogoś, innego, podczas gdy Marię momentalnie wyniesiono z tego miejsca w palankinie! Wreszcie mu się zdawało, że w tej sprawie już się nie uda zrobić niczego. Jego warkocz smutnie i niepokieszenie chwiały się na wszystkie strony w czasie tych gorących, bardzo, parnych dni czerwcowych, gdy chodził po wąskich ulicach i gdy codziennie przez jedną albo dwie godziny głosił Słowo Boże w "Sali Jezusa". Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że obcięcie tego warkocza mogłoby sprawić, iż naraz byłby uważany za bardziej stosownego starającego się, jeśli chodzi o Marię. Ale w takim wypadku utraciłby zaraz możliwość tak swobodnego poruszania się pomiędzy Chińczykami, którzy uważali go jakby za jednego ze swoich - a Hudson dobrze wiedział, dla jakiego celu danym mu było usłyszeć ten głos: "Jedź dla Mnie do Chin!" Przed nim stało w tym kraju do wykonania zadanie, a zadaniem tym było ogłaszanie wszem i wobec, iż jest Ktoś, kto może zbawić od wiecznej zguby i śmierci. Wewnątrz tego ogromnego kraju czekało na te dobre wieści wielu mieszkańców miast, miasteczek, wiosek... i tam on musiał się udać! A zatem warkocz musi pozostać. Ale gdy rano i wieczór Hudson modlił się żarliwie przy swoim łóżku o Chińczyków, za każdym razem wymieniał i imię Marii w gorącej modlitwie przyczynnej - a potem dopiero wstawał z kolan.

Aż wreszcie mniej więcej w połowie lipca cała sytuacja uległa radykalnej zmianie!

A ta radykalna zmiana była w cudowny sposób od Boga przygotowana w czasie! Miało to miejsce pewnego popołudnia, gdy pani Jones przyjmowała u siebie wszystkie panie, misjonarki w Ningpo. Akurat w tym czasie nad miejscowością tą rozszalała straszliwa burza i deszcz lunął potokami. Już po kilku chwilach ulice zamieniły się w rwące potoki, a wszyscy przechodnie poznikali. Ogromne masy wody ściekające z dachów tworzyły głębokie kałuże w najbardziej niespodziewanych miejscach, a panie zgromadzone w salonie pani Jones, wyglądając trwożnie przez okno, zastanawiały się, jak im się też uda dostać z powrotem do domu! Znacznie później niż zwykle pojawili się tego dnia tragarze palankinów, z zawiniętymi ponad kolanami spodniami, a z ich szerokich kapeluszy obficie kapiała woda. Ale i tak było więcej pań aniżeli palankinów. Stąd jasny wniosek, że nie które panie musiały poczekać, podczas gdy pierwsza grupa została odniesiona do domów. Pomiędzy tymi, które zostały zaniesione w pierwszej kolejności, znajdowała się panna Aldersey, pomiędzy oczekującymi powrotu tragarzy z palankinami po następną partię - Marię. I tam właśnie zastał ją Hudson, gdy wrócił z panem Jonsem z kaplicy do domu!

Małego salonu, w którym siedzi kilka osób, nie można uważać za idealne miejsce dla oświadczeń, szczególnie dla kogoś, kto już został raz odrzucony!... Hudson zdawał sobie z tego sprawę i dlatego gdy uświadomił sobie, że ma możliwość coś jej powiedzieć, najpierw chciał tylko grzecznie zapytać, czy wolno mu będzie napisać do jej opiekuna i poprosić o zezwolenie na kontynuowanie przyjaźni z Marią! Ale gdy rozpoczął rozmawiać, wnet stwierdził, że mówi znacznie więcej, aniżeli tylko to - i to pomimo obecności osób trzecich. I o dziwo! Maria, która zazwyczaj była bardzo cicha i odnosząca się do wszystkich z pewną rezerwą, tym razem zareagowała na jego słowa z bardzo zachęcającym ciepłem! W zdumiewająco krótkim czasie sytuacja stała się zupełnie jasna i gdy powróciły palankiny, aby zabrać pozostałe panie do ich domów, ani jedna osoba w tym salonie nie miała najmniejszej wątpliwości, na czym stało, młody

Hudson Taylor miał całkowitą zgodę i zezwolenie Marii na napisanie do jej opiekuna. A chociaż nie wypowiedział tego słowami, to jednak wszyscy byli całkiem pewni, że nawet trzęsienie ziemi spowodowane przez pannę Aldersey nie powstrzymałoby go od uczynienia tego!

Jakkolwiek Hudson napisał bezzwłocznie do opiekuna Marii, minęło jednak pełnych cztery miesiące, zanim przyszła odpowiedź. Powodem tego była też i ta okoliczność, że okręt pocztowy w Ningpo wiozł tym razem nie tylko ten list zaadresowany do pana Tarna! Napisała do niego również panna Aldersey. Dlatego pan Tarn musiał dokonać pewnych dyskretnych kroków w celu zbadania informacji od kilku osób w Londynie dotyczących osoby Hudsona, zanim dał ostateczną odpowiedź. Uczyniwszy to wszakże doszedł do przekonania, że jeśli jego siostrzenica, a również i podopieczna; miała życzenie wyjść za mąż za tego młodego misjonarza noszącego warkocz, to nie było żadnego powodu, dla którego by tego nie miała uczynić. W liście swoim zażądał jednakże stanowczo, aby Maria, mająca już dwadzieścia lat skończonych, poczekała z uczynieniem tego kroku do chwili uzyskania pełnoletniości, czyli wieku lat dwadzieścia jeden. Tak więc w niespełna rok po owym oberwaniu chmury, Hudson poślubił Marię i zamieszkali w małym mieszkaniu na poddaszu tego samego domu przy Bridge Street, w którym znajdowała się salka służąca do opowiadania Ewangelii.

Tak się jakoś złożyło, że Bridge Street (ulica Mostowa) w Ningpo otrzymała również trafną nazwę jak i Drainside (ulica Wzdłuż Rowu) w Hut, przy której Hudson swego czasu mieszkał. Była to bowiem krótka uliczka zaczynająca się mostem i kończąca się mostem. Ponieważ zaś jeden z tych mostów zbudowany był nad kanałem płynącym tuż za domem, w którym mieszkali państwo Taylor, Hudson co chwilę wspominał dawne dzieje. Najpierw zamieszkał w tym strychowym mieszkaniu, gdy był jeszcze samotnym kawalerem i pewnego poranku obudziwszy się zauważył, że cała podłoga pokryta jest cieniutką warstwą śniegu, który przedostał się do wnętrza poprzez dachówki... Przez dłuższą chwilę starał się daremnie zidentyfikować swój monogram na poszwie kołdry i wreszcie ostrożnie wyszedł z łóżka i ubrał się!... Zdecydował jednakże, że przed sprowadzeniem Marii do tego mieszkanka, konieczny jest mały remont, tak że gdy przybyła tam już jako pani Hudsonowa Taylorowa, zastała to mieszkanko podzielane na pięć małych pokoiów, z których każdy opatrzone był sufitem! Tam właśnie, pośród samych Chińczyków, ubierając się tak jak oni i mówiąc płynnie ich językiem, zabrali się razem do pracy.